№ 6. Poznań, dnia 4. Lutego 1871. Rok III.



TYGODNIK BELLETRYSTYCZNY ILLUSTROWANY.

Tygodniowo 1½ ark. Kwartalnie 15 sgr.; w Galicyi 1 fl. 15 cent. W poszytach czterotygodniowych po 5 sgr.

IGNACY KRASICKI

JAKO KOMEDYO-PISARZ*).

Mało się poświęcamy studyom dawniejszych pisarzy polskich; krytyka umiejętna i sumienna jeszcze bardzo wielu nie dotknęła nawet, radzi powtarzamy zdania stare, bo do nowéj pracy i badań ochoty mało. A za prawdę, dopóki nie zdobędziemy się na monografie szczegółowe, nie możemy mieć wiernego obrazu historyi literatury ojczystéj. Oceny, które powierzchownie wydawano w przeszłym wieku, dziś nie są wystarczające: potrzeba stosownie do pojęć nowych estetycznych, stawiać tych pracowników-obywateli, którzy na literackiéj niwie położyli przeważne zasługi i zajaśnieli prawdziwym talentem. Do rzędu tych, należy wybitna postać Ignacego Krasickiego, z którego imieniem wiąże się właściwy okres literatury polskiéj zwany niesłusznie Epóką Stanisławowską. Poeta, w całym znaczeniu tego słowa, pełen dowcipu i humoru narodowego — przeważny wpływ wywarł duchowy na społeczność swoją. Jego bajki, satyry i listy wierszowane — są to małe arcydzieła, które nigdy na prawdziwéj wartości nie tracą. My tu bierzemy stronę jego nieznaną — jako komedyo-pisarza. W wydaniu dzieł Krasickiego w dziesięciu tomach przez Franciszka Dmochowskiego, żadna z komedyi tego pisarza pomieszczoną nie została. Powodów tego nie znamy, bo wydawca zbliżony z Krasickim i stosunkami przyjaźni i bliską zażyłością, mając wszystkie rękopisma w ręku, wiedział czyje są trzy komedye drukowane pod imieniem Michała Mowińskiego, a oraz cztery inne, które się znajdowały w rękopismach pośmiertnych. Dopiero w roku 1830., gdy przedruk pierwszego wydania przedsięwziął księgarz warszawski i nakładca Natan Glücksberg, uzupełniając takowe, wydał ośm tomów do dawnych dziesięciu, i w nich pomieścił: „Zbiór potrzebniejszych wiadomości porządkiem abecadła ułożonych“ oraz drobne pisma i siedm komedyi Krasickiego, które zajmują ostatnie tomy VII i VIII, ogłoszone już nie przez N. Glücksberga, ale po jego upadku i zgonie w roku 1832, kompania kupców takowe w pozostałéj jego drukarni wydała.

Utwory te, nie zasługiwały na zapomnienie, na które zdawałoby się, że zostały skazane. Być może że sam Krasicki usunął je ze zbioru pism swoich, jak i małą swoją encyklopedyę, którą w dwóch dużych tomach za życia wydał p. n.: „Zbiór potrzebniejszych wiadomości.“

Jakkolwiek bądź, należy nam przejrzeć bliżéj te utwory dramatyczne pisarza, który jest wraz ze Stanisławem Konarskim reprezentantem przedostatniego okresu literatury naszéj.

*) Otrzymaliśmy powtórne zapewnienie Dyrekcyi Teatru, że w krótce za przykładem sceny Warszawskiéj i Krakowskiéj i na naszéj przedstawiona będzie jedna z komedyi Krasickiego. — Podajemy więc rozbiór dzieł dramatycznych tego autora, ażeby je jako z czasów nieco oddalonych w pamięci czytelników odświeżyć. Przyp. Red.

Krasicki cenił wysoko sztukę dramatyczną i pierwszego komedyo-pisarza Franciszka Bohomolca a swego poprzednika. W piśmie swoim peryodycznėm p. t.: Co tydzień, zwraca na jego utwory uwagę czytelników.

„Jedna (pisze Krasicki) z najużyteczniejszych komedyi Bohomolca, jest ta, gdzie rzecz o przymówkach, mówię, z najużyteczniejszych, bo ta przesadzona delikatność, szczególnym sposobem nam jest właściwą, i w tak ją wysokim stopniu posiadamy, iż zapewne w téj mierze mamy pierwszeństwo. Gniewał się w ogrodzie będąc ów wyśmiany, zbyt wrażliwy jegomość, iż ktoś pierwéj pojrzał na niego, a potém na szpalery, a to dla tego, jak się sam przyznał, iż właśnie pod owemi szpalerami, ktoś go był kiedyś zniewa-żył, a może i za to, iż zbyt wrażliwym będąc, wszystko do siebie stosował, i mniemał iż jemu przymawiają. Godny był wyszydzenia i śmiejemy się z tego, co się jemu głupie marzyło, a nie postrzegamy, iż on nam przymawia!“

Co się podobało Krasickiemu w Bohomolcu, to wziął za treść swoich komedyi. Chwytał jak w Satyrach śmieszności i wady i wszystkie téż jego w tym rodzaju utwory, są głównie charakterystyczne.

Ta téż strona, przeważnie nadaje im wysoką wartość, bo przedstawia w wiernym malowidle, żywe tamtego czasu postacie. Jeżeli w niektórych komedyach Krasickiego, sam tytuł zapowiadać zdaje się jéj główną osnowę, jak Łgarz, Frant lub Pieniacz; to w innych, jak Solenizant albo Krosienka, treść obfitsza jak napisy.

Co spowodowało Krasickiego do pisania komedyi, znajdujemy objaśnienie w jednéj p. n. Krosienka, w której dandys ówczesny, mówiąc o Paryżu, opowiada jak krytyką rozumną a ostrą, na tamecznych pisarzy dramatycznych, zwrócił uwagę na siebie i powszechne obudził zdanie, żeby sam został autorem.

„To pisz Waćpan komedye!“ odzywa się jeden z obecnych.

„Polskie komedye?“ wykrzykuje ze zdziwieniem.

„Albożto nie może być komedya dobra po polsku?“

„Kasza nie komedya Mości Panie, nasz język do tego się nie urodził“ odpowiada z pogardą i dumą.

Nie dziwujmy się temu uprzedzeniu. Jeszcze późniéj w pół wieku, już za naszéj pamięci Ludwik Kropiński napisał romans Julia i Adolf w tym jedynie celu, ażeby przekonać wyższe warstwy społeczności, że język nasz zdolny do wydania uczuć najdelikatniejszych miłości.

Jeżeli Krasicki wybornym był malarzem wad krajowych w wybranych postaciach, które tak po mistrzowsku i z takim dowcipem w Satyrach swoich przedstawił; w komedyach nie opuścił go talent wierności malowidła, ale nie zawsze mu dowcip i humor dopisały; kto wie, czyby tych zalet nie przechował, w formie poetycznéj.

Mało znając potrzeby sceny i życia dramatycznego, zwraca wyłącznie uwagę na główne postacie. — Najwięcéj pod względem ruchu dramatycznego mają zalet: Solenizant i Krosienka. Dużo w nich życia scenicznego i zajęcia dla widzów.

W ostatniem wydaniu dzieł Krasickiego, na czele wszystkich komedyi, stoi: Łgarz we trzech aktach, wydana pod przybranem nazwiskiem Michała Mowińskiego w 1780 r.

Do córki majętnego obywatela zgłasza się dwóch zalotników: Erast łgarz, i Leander porządny młodzieniec: pierwszy ma po sobie ojca, drugi matkę i córkę. Erast udaje się za wielkiego bogacza, że jest hrabią na Trzmielinie i dziedzicem dwóch miast i szesnastu i pół wiosek. Opowiada, jak w zagranicznych podróżach z królem hiszpańskim polował na żubry, a w dobrach jego na Ukrainie, był taki na pszenicę urodzaj, że hajdamacy konno i ze spisą w niéj się chowali; czemu ojciec panny dobroduszny, ale ograniczony, wierzy.

W współczesnym rękopiśmie wyczytałem, że Krasicki w Łgarzu, miał na myśli Kięcia Panie Kochanku. Ale gdzież porównać kłamstwa jego, do bez sensu i bez dowcipu kłamstw Łgarza w komedyi!

Kiedy Erast już jest pewnym ręki posażnéj panny, przybywa jego ciotka Grujska, dzielna i wygadana matrona, typ wyborny owych niewiast, które nazywano wówczas hic mulier. Ta, obrażona na siostrzeńca, wykazuje jego bezczelne kłamstwa, że nie jest żadnym hrabią ani bogaczem, ale synem pijaka i marnotrawcy, i zmusza go do opuszczenia dworu panny, której rękę Leander otrzymuje.

Frant, komedya w trzech aktach, z pośmiertnych rękopismów Krasickiego wyjęta, jest dopełnieniem niejako Łgarza; jak ten kłamstwami zyskuje sobie względy i poparcie ojca, tak Frant jezuicką układnością i plotkami; wydaje się w końcu jego nikczemność i podłość i dostaje odprawę.

Statysta i mędrzec, są to postacie zbliżone do siebie, ale przesadzone i w karykaturze. Może nam się tak potwornemi wydają w oddaleniu od tamtych czasów: wiedząc, że Krasicki, brał zawsze z żywych wzorów.

Pierwszy otoczony przez oszustów, zajmuje się sprawami polityki Europejskiéj, pojmując je ze swego stanowiska, z domowego zapiecku, szlacheckiego zaścianka, a przejęty trwogą zerwania stosunków zgody pomiędzy państwami, zwraca głównie swéj małżonki uwagę na to, ażeby nakupiła zapas imbieru, bo go w krótce zabraknie!

Drugi, Gornogłębski pozorną swoją uczonością i przesadą, a w rzeczy głupiec, zyskuje względy matki, która córkę, wbrew jéj woli pragnie za niego wydać. Zajmuje się ona nauką astronomii, i sądzi się równie uczoną jak zięć jéj przyszły, co swoje pomysły wzniosłe dla ludzkości chce obrócić, jak Statysta, wszystkie swoje myśli i pojęcia stosuje do spraw europejskich.

Raz mu przyszedł rozsądek kiedy tak się o obowiązkach kobiety wyraża:

„Ja takowe białogłowy szacuję, które się trzymają swoich obowiązków, które pielęgnowania dzieci, gospodarstwa pilnują, które w dysputy z mądremi się nie wdają, które nie trawią czasu nad takiemi naukami co im nie przystoją, które na fundamencie niby jakichcić nabytych wiadomości, mężami rządzić nie pragną!“

Ale tę chwilę zdrowego poglądu, i naturalnego wysłowienia bez napuszystości zwyczajnéj, drogo zapłacił, bo matka panny usłyszawszy to, gdy weszła niespodzianie, daje mu od kosza, a przyjmuje tego za zięcia, którego pragnęła córka i ojciec popierał.

Pieniacz, komedya w pięciu aktach, największych rozmiarów z utworów dramatycznych Krasickiego i z pośmiertnych jego rękopismów drukowana, daje nam typ wierny pieniaczy i procesowiczów, których tak wielu i długo potem mieliśmy! Zadaniem ich życia i żywiołem, były toczone spory po sądach, czy w sprawach mających zasadę, lub cień prawdy, czy urojenie, albo też prostą chęć grabierzy i obdarcia bliźniego.

Anzelm przedstawia nam typ taki, który całe życie na wózku od trybunału Lubelskiego do trybunału Piotrkowskiego się włóczy, a w domu rozmyśla i przysposabia nowe spory, nowe pozwy i zgromadza potemu potrzebne dokumenta, z pomocą Repertowicza plenipotenta swego.

Przeciwną stronę medalu stanowi brat jego Aryst, człowiek szlachetny i zacny, nienawidzący procesów: za jego też przeważnym wpływem, uszczęśliwiona córka Pieniacza, bo oddaje ją temu, którego kocha.

W ustach Anzelma znajdujemy wiele wyrazów i wyrażeń staréj Palestry, dziś już dla nas niezrozumiałych i wyczytujemy zarazem ciekawy szczegół, jak oburzył przeciwko sobie Krasicki wszystkich palestrantów, wydaniem Przypadków Mikołaja Doświadczyńskiego.

Pieniacz mówi o autorze téj książki:

„To niegodziwy człowiek! i ja nie wiem jak i książki jego i jego samego żywcem nie spalili za to, co on śmiał pisać przeciw trybunałom!“ (Dokończ. nast.)

PAŁAC I FOLWARK.

Obrazy naszych czasów

przez

J. I. Kraszewskiego.

(Ciąg dalszy.)

Wziął się stary do kobierca.

Kanonik pomodlił się przed kościołem, starego poklepał po ramieniu i poszedł ku furtce wiodącéj ztąd na probostwo... W ganku już spotkał ks. Leona, który pot z czoła ocierał.

„Czemużeście mi niedali znać“, witając się rzekł Kanonik, „iż Wątróbka życzył sobie mnie mieć... byłbym pospieszył.“

Ks. Leon zaciął wargi.

„Chciałem ks. Kanonika wyręczyć“, odpowiedział sucho.

„Pojmujecie przecież iż jabym także moją część w cura animarum rad spełnić... nie odbierajcie mi jéj proszę... Ci ludzie mogą sądzić...

„Przepraszam“, przerwał Leon, „oni nie powinni dobierać sobie duchownych... każdy z nas przychodzi w imię Boże...“

„Nie trzeba być tak bardzo surowym“, odezwał się Kanonik, „w ogólności powiem wam, wy zapewne w najlepszéj chęci to czynicie, ale za ostro się czasem obchodzicie z ludkiem naszym, który do łagodności nawykł.“

„To źle“, syknął Wikary, „to źle, religii mu zasłodzonéj podawać nie trzeba, bo ją lekceważyć będzie.

„Wiem, że w tém różnią się nasze pojęcia“, chłodno odezwał się Kanonik, „lękam się wszakże by zbyteczna surowość więcéj nie szkodziła niż pomagała... Syn Boży był miłością samą. Oto naprzykład, gdy stary Wojciech umierał, kazaliście precz iść od umierającego rodzinie... skonał tak nie pożegnawszy się z nią, na co niezmiernie płakali.“

Ks. Leon ironicznie popatrzał na Kanonika.

„Jest to bardzo chwalebny zwyczaj przez rzymskie duchowieństwo zaprowadzony, aby w godzinie śmierci, konający myślał o Bogu nie o ziemskich rzeczach... po co tam rodzina? po co to pożegnanie? po co te dystrakcye, które skruchy nie dopuszczają...“

Kanonik słuchał.

„Każdy kraj ma swój obyczaj, u nas tego nie bywało.“

Ks. Leon ruszył wzgardliwie ramionami:

„Pozwolisz mi ks. Kanonik, choć młodszemu, uczynić tę uwagę, że — zapewne nie z jego winy, ale przez wiekowe opuszczenia i tolerowania wkradło się u nas wiele zgubnych zwyczajów. Potrzeba surowości bezwzględnéj aby je wykorzenić — mam to najmocniejsze przekonanie.“

„Mój ojcze“, zwolna rzekł Kanonik, pobłażać złemu nie godzi się nigdy, ze złem niema kompromisu, ale z naturą ludzką więcéj dokażecie łagodnością niż piorunami Jowiszowemi. Cały duch nauki Chrystusowéj sprzeciwia się użyciu tam grozy, gdzie dobroć starczy. Będziecie żyli dłużéj, doświadczycie więcéj, przekonacie się kiedyś iż surowość zbytnia w kapłanie zamiast mu nadać powagę, odbiera ją, czyniąc go na pozór namiętnym i na oko gniewliwym, choćby nim nie był. — Ks. Leonie, gorliwość was unosi często za daleko.“

Ks. Leon uśmiechnął się: „to rzecz mojego sumienia.“

„Nie czynię też z tego wymówki, aleście wy mi zadali słabość.“

Wikary odwrócił się z szyderską a jakiemś przypomnieniem spokorniałą postacią. Wyrazy jego następne przybrały dziwny ton zaledwie pochwyconéj ironii.

„Gdzieżbym ja się ośmielił, ks. Kanonikowi, cokolwiekbądź zarzucać! Może się źle wytłomaczyłem — znam moje położenie, obowiązki, zależność, winne starszym posłuszeństwo i proszę mi wierzyć że... ściśle trzymam się stanowiska mojego, granic nie przekraczając nigdy...“

A po chwili począł dziwnym jakimś tonem coraz w powagę rosnącym.

„Pozwoli ks. Kanonik...“

„Wszystko w świecie“, rzekł spokojnie kapłan, „mów, co się podoba.“

„Każdy wiek kościoła wojującego ma swój odrębny charakter, i strategia téż kościelna zmienic się musi stojąc w obec coraz innego nieprzyjaciela... Ja byłem w Rzymie i tam zaczerpnąłem skazówki co do właściwego sposobu postępowania..."

„Zapewne", rzekł Kanonik, „ale przyznasz mi że i każdy kraj ma właściwy sobie charakter, a kościół zwykł od wieków, jak dobra matka, zastosowywać się do potrzeb swych dzieci."

Ks. Leon przeszedł się uśmiechając po ganku.

„Miałem właśnie do ks. Kanonika prośbę", rzekł, „ale..."

„Proszę mówić, jeśli w méj mocy..."

„Chciałbym odbyć rekollekcye u ks. ks. Jezuitów w..."

Kanonik z razu nic nie rzekł.

„Czy to koniecznie u Jezuitów!" spytał po przestanku cicho.

„Ja się nie taję z moją słabością, dla wielkich zasług i surowéj pobożności tego zakonu."

„Obojga nie zaprzeczam", rzekł Kanonik... „jedną bym tylko uczynił uwagę. Słuszna, czy nie naród nasz przypisuje wpływowi tego zakonu, opanowanie przezeń wychowania publicznego, wszystkie klęski nasze, upadek i ciemnotę. — Nie będę się z panem sprzeczał o to, czy twierdzenie to, jest zupełnie uzasadnione. W pewnych jednak chwilach życia narodowego, boleść kraju poszanować należy — błędne nawet może sądy uwzględnić. — Czyż nie ma ani zakonu, ani miejsca, gdzieby rekollekcye odbyć można pobożnie i święcie, tylko tam? Na co narażać i odstręczać od siebie ludzi."

„Aby ich wywieść z błędu" zawołał gorąco ks. Leon, „należy walczyć otwarcie z uprzedzeniami. Jezuici raz czasu reformy kościoła w Polsce uratowali, dano im być może ocalić go od wpływu masoneryi, judaizmu i rewolucyi."

Kanonik spuścił oczy i milczał znowu czas jakiś.

„Nie wiem, nie wiem" odezwał się, „może — może. — Trudno z takiemi rzeczy się spierać — kwestya zawiła... Jabym wolał aby się katolicyzm bez tych pomocników obszedł... lecz... szanuję... przekonanie."

„Więc mi ks. Kanonik nie zakazuje?" spytał ks. Leon.

„Zakazywać? ja? mój ks. Leonie" śmiejąc się przerwał Kanonik, „a cóżem ja kiedy jegomości zakazywał?

„Ale bo choć w formie łagodnéj — to zakaz..." ofuknął ks. Leon."

„Bynajmniéj, jedź waćpan — jedź. Jeżeli jednakże potém nie łatwo ci będzie pozyskać sobie tu zaufanie i miłość u ludzi... sam sobie przypiszesz winę."

„Więc nie jadę" powtórzył ks. Leon.

„Jedź, nie jedź, jak ci się podoba" dokończył wstając z ławki Kanonik, „proszę tylko nie mów żem ja zakazywał. Z tém co myślę nie taję się, nie zjednywa mi to przyjaciół — nowych zaś niechęci nie życzyłbym sobie ściągać."

„W wielu rzeczach i poglądach różnimy się z sobą, mogę się bardzo mylić — Bóg osądzi."

Łagodna ta mowa zdawała się właśnie łagodnością swą do najwyższego stopnia drażnić Wikarego, którego twarz kurczyła się, wyprężała, krzywiła, a oczy to łyskały, to się przymykały, wtórując ustom."

„Ja téż" zawołał, „nie myślę się podawać za nieomylnego, ale mam za sobą powagę nowych rozporządzeń kościelnych i te to zaczerpnąłem w samym Rzymie."

Ks. Kanonik posuwasz tolerancyą do tego stopnia, iż przypuszczasz i żydów i protestantów do prawie równych praw społecznych..."

„Zdaje mi się, że na téj tolerancyi opierając nadzieję nawrócenia, nie mylę się — dajmy pokój, dajmy pokój" — rzekł poskramiając widoczne wzruszenie, „czytaj ks. Leonie Ewangelię, czytaj Ewangelię, umiłuj Chrystusa, a gdy ci się oczy odsłonią ażebyś wejrzał w serce Jego... nie będziesz mnie potępiał..."

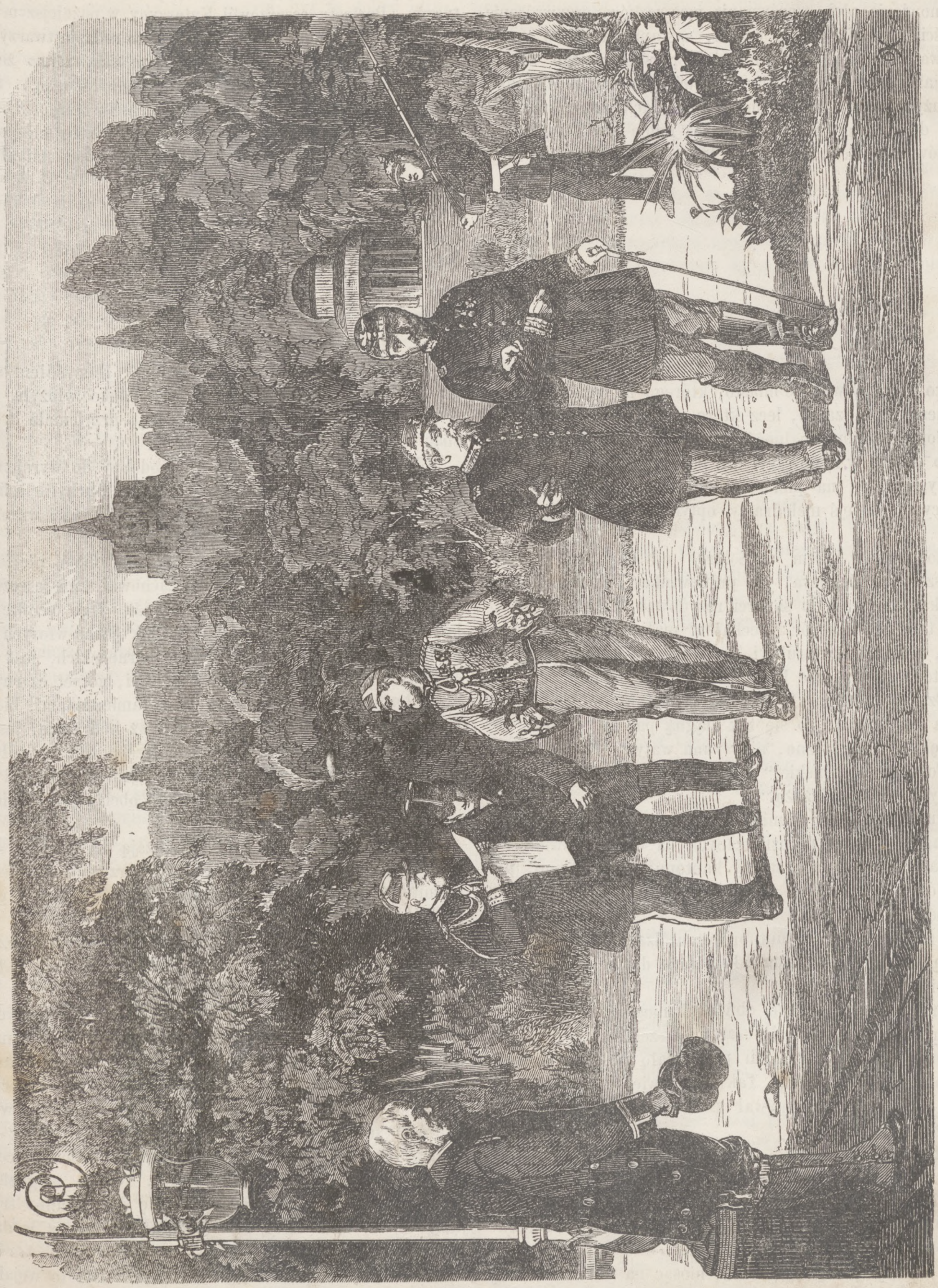
Widocznie unikając dalszéj wielce drażliwéj rozmowy, Kanonik poszedł do swojego pokoju po brewiarz i z nim wysunął się ku zwykłéj uliczce cmentarza, po któréj chodząc odmawiał modlitwy.

Ks. Leon pozostał w ganku, zadumał się... oczy jego zwrócone ku pałacowi dostrzegły właśnie ciągnące drogą ku niemu ekwipaże. Domyślił się zapewne że przybywała dziedziczka... Przodem szła amerykanka, daléj kareta poczwórna, mała karetka, kocz i bryka... Wszystko to z wielkiem klaskaniem batów i trąbieniem pocztarskiem wtoczyło się w dziedziniec pałacowy... i znikło.

Ks. Leonowi oczy zajaśniały, zatarł ręce i żywym krokiem pobiegł ku wikaryi.

Pałac Skwirskich zbudowany w XVIII w. nosił na sobie wszystkie cechy jego smaku wykwintnego do zbytku, nie bez wdzięku może, ale nadto wyszukanego i rozkwieconego. Skwirscy żyli na dworze Saskim i służyli obu Augustom, pierwszemu w jego nieskończonych miłostkach, drugiemu w niezmordowaném łowiectwie, dzieląc obu upodobania w przepychu i elegancyi — pałac też ich przypominał budowy drezdeńskie, salony Moritzburga i pałace Brühlowskie. W głównych apartamentach coś późniéj poprzerabiano i dodano, w bocznych szczęśliwi byli właściciele, gdy smak do rokoko powracać zaczął, iż oryginalne jego próby posiadali. — Pałac pozostał rokoko. Począwszy od frontu na którym poczepiane były wazony, amorki, kwiaty kamienne, boginie, perłowe sznury i wieńce, aż do gabinetów z lustrami w ramach porcelanowych i ścianami ze zwierciadeł — wszystko było w tym stylu — o ile go u nas wynaśladować umiano. — Stary ów zbytek nieco spłowiały, jeszcze się wcale pięknie wydawał. Pełno tu było pamiątek nie starszych nad wiek XVIII, portretów we fryzurach i bogato haftowanych frakach, wygorsowanych pań z bukietami, cytrami, amorkami, pieskami i wachlarzami. Wszystko co zdobi drezdeńskie dawne pałace, przeniosło się tu po troszę, aby je przypominało.

W jednym z bocznych gabinetów, właśnie najświeższym i najwykwintniejszym, którego obicie stanowiła materyjka perłowa w rzucane róż bukiety, przy stoliku siedziała hrabina, któréj podano herbatę na prędce... Na berżerkach, krzesłach, konsolkach pełno było do koła podróżnych torebek, chustek, flaszeczek, węzełków i fraszek, któremi życie eleganckie otaczać się lubi. Sama pani wygodnie zasiadłszy w fotelu, nogi sparłszy na stołeczku, rozglądała się po swym gabinecie. Była to osoba dobrze nie młoda, lecz środkami jakich sztuka dostarcza, nadzwyczaj szczęśliwie za-



Napoleon w Wilhelmshöhe.

konserwowana. Paryż ma tyle wynalazków najrozmaitszych dla odnowienia płci, wyrównania marszczków, przywrócenia świeżości, nadania blasku oczom, zastąpienia zębów, przysztukowania włosów, iż umiejąc korzystać z jego darów, osoba jak hrabina pamiętająca o swéj powierzchności może przedłużyć wielce pozory młodości i zachować się prawie piękną do późnego wieku. Była też mimo zbytniéj pełności kształtów hr. Skwirska wcale ładną, a drobne jéj rysy, choć się nieco rozlały, zachowały pewien wdzięk arystokratyczny. Portrety cesarzowéj Katarzyny w późniejszym wieku najlepsze dać mogą wyobrażenie o tego rodzaju twarzy i piękności. Ubrana z niezmierną starannością mimo że była w podróży — miała postawę prawdziwie królewską... Sparty oburącz o poręcz krzesła stojącego naprzeciw Margocki, zdawał się oczekiwać na jéj rozkazy, wpatrując się niespokojnie w twarzyczkę, któréj oczy prawie umyślnie go unikały.

(C. d. n.)

Z PODRÓŻY

przez

J. Gordona.

II.

Wygnaniec wszędzie jest sam!

Kto chciałby widzieć miasto, którego nie zmełła jeszcze nowoczesna cywilizacya, lecz które pod zasłoną gór zachowało dotąd swą oryginalność w uderzającym kolorycie, niechaj po drodze w Szwajcaryi nie pomija Berna.

Wygląda on na pierwszy rzut oka, jak gdyby stara dekoracya u jakiejś melodramy, optycznie ustawiona w teatrze.

Zaopatrzony listem w Solurze od chrzestnego syna Kościuszki, p. Zeltnera, do pułkownika Lelewela (brata historyka, który aż do śmierci rezydował w Bernie); przybyłem tam pod wieczór. Jechałem małym powozem pocztowym, dziwnéj konstrukcyi, używanéj tylko przez górali. Front tego powozu nie był u przodu, ale z boku.

„Czy to są chmury?“ zapytałem woźnicę — „tam... daleko na horyzoncie., co się tak ciągną pasem, a zdają się być miękkie i elastyczne, niby runa waty.“

„To Alpy berneńskie!“ odpowie, „W takiéj wacie tylko się sępy i orlęta gnieżdżą.“

Z nadejściem nocy zmieniła się fantasmagorya. Ujrzałem magiczny obraz porozrzucanych na wyżynie światełek, które jaśniały w oknach stolicy kantonu berneńskiego, podobne do świętojańskich robaczków migocących w lesie na murawie.

A za kilkanaście minut przeprowadzał mnie oberżysta z lampą w ręku przez długie korytarze dawnego klasztoru, przerobionego na hotel.

Bern z przyległościami obfitował niegdyś w klasztory, nie potrzebując obawiać się czarta i wszelkich spraw jego; gdyż na każdego z obywateli przypadało po jednym mnichu i po jednéj zakonnicy. Tak liczny więc zastęp poświęcanych osobistości utrzymywał z dala od błogosławionego grodu ligę diabelską.

„Możeby Pan“ rzecze gospodarz, „chciał przepędzić wieczór w naszéj czytelni miejskiéj? Będąc jéj członkiem, mógłbym tam wprowadzić mego łaskawego gościa...“

„Dziękuję... na ten raz dziękuję! Herbaty i spoczynku... oto wszystko czego pragnę.“

Za chwilę zjawił się garson, niosąc na dłoni ogromną tacę nakrytą serwetą, cukrem, miodem, masłem, serem, i t. d.; a za garsonem wsunęła się posługaczka, niosąca flaszę glinianą, tak zwaną kamionkę. Domyśliłem się jéj użytku wtedy dopiero, gdy ścieląc łóżko włożyła mi ją w nogi. Jakoż strudzonemu podróżą, przyjemnie było zasnąc cieplutko.

Nazajutrz nie zwykły gwar, podobny do wyrojenia się pszczół z ula, przebudził mnie z uśpienia; uchyliłem firankę od okna i zawołałem ach! nie mogąc oderwać wzroku od obrazu żywego i pełnego wdzięku.

Ulica była przepełnioną wieśniakami obojéj płci, w narodowych strojach. Lud, który zachował tam jeszcze tradycyę po przodkach, ubiera się tak jak i jego ojcowie przed laty się ubierali. Szczególniéj widok jasno-włosych, pełnych siły, nagromadzonych kobiet berneńskich, jest nader ciekawy. Przepaska aksamitna na szyi, gorset czarny srebrem haftowany, z łańcuszkowemi naramiennikami, bielutka karbowana kryza osłaniająca pierś aż pod szyję, jest wydatną cechą ich stroju. Dodać potrzeba dla uzupełnienia wyglądające z pod krótkiéj ciemnéj sukni z wyłogami u dołu, niebieskie wełniane pończochy, obciągające dwie potężne łydki, jak dwie konewki.

Te urodziwe niewiasty przyjeżdżają na targ co sobotę do Berna, przywożąc na wózkach zaprzężonych osiełkami rozmite wyroby swego przemysłu, tudzież płody gospodarskie.

Radziłbym turystom przypatrzeć się temu jarmarcznemu mrowisku, jako scenie, ktoréj warto dać brawo. Gdy ona zniknie, głucho w ponurem mieście.

Wtedy stąpasz pod sklepieniem domów wspartych na ciężkich urkadach, słysząc echo swoich kroków. I możesz takiemi galeryami obejść całe miasto, a nie spotkasz nic nad kramarzy stojących lub siedzących na ławeczkach u swoich sklepów, jako też rzadkich przechodniów w zwyczajnych surdutach lub paletotach, albo na koniec kilku studentów palących poważnie knaster z długich porcelanowych fajek na giętkich cybuszkach. Gdzie niegdzie też Szwajcarka pędzi swoją rasową krowę do fontanny tryskającéj na środku ulicy, lub dźwiga cebrzyk z wodą na głowie.

Odwiedziłem pułkownika Lelewela. Był to wojak z r. 1831. Oprócz zacności posiadał wiele światła, nabytego raczéj w życiu praktycznem niż wziętego z teoryi. Na obli-

czu jego wyrażała się owa otwartość i pogoda, która znamienuje starych wojskowych. Z resztą był to dobry inżenier; pokazywał mi doskonały most za miastem, będący jego dziełem i kolegów współrodaków.

Nad łóżkiem pułkownika wisiały na tarczy jego epolety, poszczerbiona szabla i para pistoletów zdobytych na Moskalach; na małym zaś stoliku w bawialnym pokoju leżała relikwia jego familijna, a zarazem narodowa, to jest zbiór dzieł w bogatéj oprawie historyka Lelewela.

Staruszka, służąca pułkownika, rozumiejąc trochę po polsku, musiała podsłuchać naszą rozmowę, gdyśmy mówili o Syberyi, i roznieść jéj treść lotem telegrafu po mieście, gdyż wychodząc razem z pułkownikiem z jego kwatery, zastaliśmy sień i schody pełne przybyłych pań z miasta, które rozstąpiły się we dwa rzędy, zostawiając środkiem wolne przejście, aby tem łacniéj przyjrzeć się Syberyjczykowi.

Skłoniwszy się pięknym i nie pięknym, ale ciekawym damom, jakie tam były, podążyliśmy na przechadzkę.

„Nie przywięzuj, kochany ziomku“ rzecze Lelewel, „wielkiéj wagi do tego rodzaju milczącéj owacyi, któréj dopiero byłeś świadkiem, i wierzaj mi, staremu doświadczyńskiemu, że wygnaniec wszędzie jest sam!“

W pośrodku długiéj ulicy, będącéj główną arteryą i miejscem skupienia się ludności berneńskiéj, zatrzymała nas ciężkiéj budowy brama, na któréj się co godzinę w okazałości pokazuje słynny machanizm w zegarze. Jest to bowiem jeden z tych zegarow, dla ozdoby którego mechanik XV stulecia poświęcił nie raz żywot cały.

„Czy chcesz zobaczyć koguta?“ zapyta z uśmiechem Lelewel, spojrzawszy na swój zegarek, „zaraz on ci pokaże, co umie.“

W rzeczy saméj, czupurny kogut umieszczony na wieży, zaczął bić skrzydłami i zapiał trzy razy, głosem w prawdzie nieco chrapowatym, zawsze jednak zapiał.

Na dane hasło, sunęło się z framugi, jeden za drugim, czterech ewangelistów, i każdy z nich uderzył młotem w dzwon na ten cel przygotowany.

Miało to znaczyć kwadranse.

Po tém spiżowym a powolnym odezwała się jękiem jedenasta godzina, a przez cały ciąg trwania dźwięku szła dziwna procesya rozmaitych lalek, która wystąpiwszy z małych drzwiczek pod zegarem, zatoczyła półkole, zanim nie znikła w drugich drzwiczkach, równoległych do pierwszych.

Daléj w końcu ulicy na drugiéj bramie z basztą, ujarzmia uwagę w olbrzymich rozmiarach freska, przedstawiająca przysięgę Wilhelma Tella wraz z jego wspólnikami, na wyswobodzenie ojczyzny z pod kajdan Gesslera.

Owe trzy spiskowców bohaterskie postacie, każda z dłonią wyciągniętą ku niebu, wzywające kary bożéj na zbrodniarza siedzącego na tronie, ściskające konwulsyjnie długie miecze w prawicy, silniéj od fotografii odbiły się na mym młodocianym wtedy umyśle.

I w wielką spletły się w duszy mojéj epopeję; historya kapelusza na słupie, któremu kłaniać się kazano; na głowie chłopięcia jabłko, do którego nieszczęśliwemu a nieposłusznemu ojcu puścić strzałę polecono; owa druga strzała ukryta, przeznaczona na przeszycie cielska tyrana; ognie płonące na szczytach gór, na znak ogólnego powstania, barka unosząca przywódzcę ludowego z rąk dostojnych oprawców; wreszcie szczęk oręża, wrzawa wojenna, pieśń wygrana na obojach, i sztandar wolności, utkwiony na skałach, dolinach, wąwozach i jeziorach Helwecyi, szczęsnéj dziś krainy, któréj świeci dola złota!

Ciekawy także w swoim rodzaju jest widok z tarasu katedralnego, dokąd udaliśmy się z kolei rzeczy.

Mur prostopadły, przeszło 100 stóp wysoki, utrzymuje krańce tarasu. Z tamtąd to widok na dachy domów, pomiędzy któremi kręci się wężykiem rzeka Aar; na różnobarwną okolicę, zamkniętą cyplami śnieżnic i lodów, o które słońce łamie się w kolorach tęczowych, ma coś doprawdy upajającego.

Cały ten taras na wyniesieniu, ze swoim kościołem protestanckim i swoją statuą, jakkolwiek nie rozległy, jest najbliższą i najulubieńszą przechadzką mieszkańców. Dla ich wygody posiada aleje i chodniki z ławkami, a nawet dwie kawiarnie.

Pomiędzy temi kawiarniami wyryty na kamieniu napis świadczy o tragicznym acz cudownym wypadku, który tam się zdarzył.

Brzmienie napisu jest następujące:

„Ten kamień wzniesiony na cześć Wszechmogącego Boga, i aby pamiątkę podał do potomności. — Z tąd pan Teobald Veinzepfli, 25 Maja 1654, skoczył na dół na koniu. Po tym wypadku służył przez trzydzieści lat jako pastor kościołowi, i zgasł bardzo starym, w zapachu świętości 25 Listopada 1694.“

Godłem kantonu berneńskiego jest czarny, pełznący w czerwonem polu niedźwiedź, z jedną łapą do góry podniesioną. Mnóstwo malowideł i posągów wyobrażających niedźwiedzi napotykać tam można.

Lecz nie wiedziałem, że Bern utrzymuje na przedmieściu i prawdziwych, żywych niedźwiedzi, w przeznaczonych ku temu fosach. Wielkiego one doznają poszanowania od odwiedzających je nianiek, dzieci, a nadewszystko od arcy-panien, inaczéj mówiąc, starych panien, które nie mogąc już kosztować przyjemności światowych, zapisują swe kapitały na utrzymywanie tych kosmatych czworonogich. Dzięki więc arcy-pannom, żyją one sobie dość wygodnie z ich procentów.

Niedźwiedzie zatém niepospolitą odgrywają rolę i do wysokiego doszły znaczenia w Bernie. Nie dosyć, że mają one swoje imiona chrzestne, swój wywód rodowy, a nawet nazwiska arystokratyczne, ale co większa, posiadają oddzielną familijną historyę i swoich dziejopisów — znakomitych dziejopisów!

Ażeby sobie nikt nie śmiał żartować z tych młodszych braci naszych, ani ich lekceważyć, przytoczę tu jedno z główniejszych podań:

Pewna bogata stara panna, zamiłowana w niedźwiedziach, przeniosła się do wieczności, pozostawiwszy na tym padole dalekich tylko krewnych, poczciwych ludzi, kochających ją tak, jak się kocha sztabę złota. Testament jéj otworzono ze wszystkiemi prawnemi formalnościami w przytomności osób interesowanych.

Pokazało się, że arcy-panna zapisała 60,000 peców rocznego dochodu niedźwiedziom, a 1000 jako jednorazową donacyę na szpital berneński, z zastrzeżeniem atoli, zastrzeżeniem jasno wystylizowanem, że suma ta ma być obróconą na sprawienie na wieczyste czasy łóżka dla użytku jednego z jéj krewnych.

Zwaryowała! zawołała chórem rodzina. Nie ważny testament! wyraźne podejście! zwalić testament!... wrzeszczano jednogłośnie.

Rząd wyznaczył tedy obrońcę dla niedźwiedzi, a że to był adwokat z talentem i niesłychanie giętkim językiem, bez kości, niewinność nieszczęśliwych czworonożnych, którym chciano wydrzeć sukcesyę, została uznaną i publicznie ogłoszoną, testament poczytany za ważny i obowiązujący; a spadkobiercy upoważnieni do natychmiastowego korzystania z praw im przysługujących.

Nic nie stało ku temu na przeszkodzie; majątek nieboszczki składał się bowiem z milionowego kapitału w gotówce. Umieszczono go przeto w kasie depozytowéj przez rząd wyznaczonéj, z poleceniem wypłacenia procentu umocowanym opiekunom spadkobierców, których uznano za nie pełnoletnich.

Łatwo się domyśleć, że od téj chwili wielka zmiana nastąpiła pod względem prowadzenia dworu tych ostatnich. A ich przezacni opiekunowie poczęli jeździć karetą i wydawać bale, rozumie się w imieniu swych pupilów. Co zaś do osobistości małoletnich, to dozorca ich przyjął tytuł kamerdynera i odtąd nie ośmielił się ćwiczyć je drągiem, ale trzciną ze złoconą gałką.

Lecz niestety nic nie ma stałego w sprawach doczesnych!

Kilka zaledwie pokoleń niedźwiedzich cieszyło się owym dobrobytem, nieznanym przedtem w ich rodzie, gdy wybuchła rewolucya francuzka.

Dzieje naszych kosmatych bohaterów nie mają wprawdzie tak ścisłego związku z tą wielką katastrofą, abyśmy mieli się zastanawiać nad jéj przyczynami i skutkami; wspomnieć tu tylko wypada o zdarzeniach, w których ci kosmaci zmuszeni byli przyjąć pośredni udział.

Szwajcarya położeniem swojém geograficznem jest na zbyt zbliżoną do Francyi, ażeby nie poczuła tego wstrząśnienia, co uczuł niemal świat cały od wulkanu rewolucyjnego. Pomimo to chciała się oprzeć napływowi lawy wojennéj, która ogarnęła Europę.

Kanton de Vaux ogłosił swą niepodległość: Bern zgromadził wojska, lecz choć zwycięzca początkowo, został w rezultacie pobity, i rzeczywiści zwycięzcy pod dowództwem jenerałów Bruna i Schaunburga weszli z tryumfem do stolicy.

W trzy dni potém najezdcy unieśli skarbiec berneński.

Jedenaście mułów obładowanych złotem wysłano do Paryża: dwa z pomiędzy nich niosły fortunę skrzywdzonych niedźwiedzi, które, chociaż były umiarkowane w swych opiniach politycznych, zostawszy na liście arystokratów, doznały wspólnego z nimi losu.

Wprawdzie pozostał im pałac ich opiekuna, kupiony za ich pieniądze, którego Francuzi zabrać nie mogli, lecz przezorny opiekun wykazał się jakimś sposobem ze swoim tytułem własności do rzeczonego pałacu, dosyć, że majątek nieletnich uległ zupełnéj ruinie.

Szlachetne zwierzęta dały w ten czas ludziom wielki przykład filozofii praktycznéj; okazały się o tyle godnemi w niedoli, ile były skromnemi podczas pomyślności — i tak przeżyły, szanowane od wszystkich stronnictw, przez pięć lat rewolucyi, która trwała w Szwajcaryi od r. 1798. do 1803.

W końcu Szwajcarya uśmierzyła swoje zbrojne góry pod dłonią Bonapartego, podobnie jak ocean który uśmierzył swoje fale na głos boży. Pierwszy konsul ogłosił akt unii, i dziewiętnaście kantonów złączyło się pod protekcyą Francyi.

Zaledwie mieszkańcy Bernu przyszli nieco do siebie, usiłowali powetować szkody poniesione. Ten się starał o urząd, ów o wynagrodzenia, itd. Ci tylko, którzy mieli najwięcéj prawa dopominania się, oczekiwali poważnie w milczeniu, dopóki republika nie pomyśli o nich.

Rzeczpospolita szwajcarska uczyniła wreszcie zadość owéj wzniosłéj zasadzie, będącéj jéj godłem: Wszyscy dla jednego, jeden dla wszystkich. Zrobiono subskrypcyą dla niedźwiedzi i zebrano 60,000 franków. Za tę kwotę, tak szczupłą w porównaniu do ich dawnéj świetności, zakupiła dla nich rada miejska realność, przynoszącą 2000 franków dochodu.

Wspaniałe zwierzęta, będące niegdyś milionerami, upadły tak nisko!

Ale nie koniec na tém. Gdy się nieszczęście na kogo uweźmie, ściga go do grobowéj deski. Mała fortuna potulnych niedźwiedzi została na domiar przepołowioną, zbiegiem okoliczności, które już atoli nie mają żadnego związku z polityką.

Posłuchać proszę:

Fosa, w któréj rezydowały poczciwe zwierzęta, była kiedyś w samém mieście i przytykała do muru więzienia.

Pewnéj pięknéj nocy jeden z więźniów, skazany na śmierć, umyślił się wymknąć ze swéj kamiennéj szuflady, a przygotowawszy sobie poprzednio kawałek żelaza, począł wiercić dziurę w ścianie.

Po kilku godzinach pracy zdało mu się usłyszeć, że z przeciwnéj strony ktoś także dłubie mury skarbowe, i padł na myśl, że jakiś podobny do niego nieborak był osadzony w przyległéj kryjówce. A spodziewając się, że przy spotęgowanéj pracy obydwóch ucieczka stałaby się łatwiejszą, wzmocnił usiłowania.

Nadzieja jego wzrastała w miarę postępu roboty.

Pracownik z przeciwnéj strony walił cegły z siłą i zapamiętałością, którą owładnięty zapomniał o zachowaniu należnéj ostrożności. Stuk cegły i sapanie robotnika słyszeć się coraz bliżéj dawały.

Z swojéj strony więzień skazany na śmierć pospieszał także, a to tém bardziéj, iż obawiał się, aby nieroztropność kamrata nie zdradziła ich obu przed dokonaniem zamiaru.

Na szczęście, że już nie wiele brakowało! Cienka tylko warstwa dzieliła sąsiadów od siebie, ale i ta niebawem padła pod ich ciosami.

I spotkały się na raz głowa więźnia ze łbem niedźwiedzia. Ten ostatni nazywał się „miś Marcin.“

Więzień zdrętwiał, skostniał, skrzepł na taką niespodziankę. Świeże powietrze zalatujące przez wyłom ze dworu ocuciło go nieco. Chciał się posunąć naprzód, gdy miś, który słysząc burzenie ściany, instynktem zniszczenia wrodzonym zwierzętom przyszedł mu w pomoc, pchał się do dziury.

I przedstawiły się ofierze dwie ostateczności: być powieszonym albo pożartym. Szubienica była rzeczą pewną, gdy rozdarcie prawdopodobną. Nie bronił więc przybyszowi wkroczenia do swéj celi, przycisnął się do kąta i — ocalał.

Zaledwie miś Marcin wlazł, nieszczęśliwy wysunął się przez jamę, nie będąc od drapieżnego kolegi zaczepionym. Wzajemna niedola zbliża biedaków do siebie!

Nazajutrz, skoro dozorca otworzył drzwi od kaźni, zdumiał na szczególniejsze przeistoczenie osoby: kosmaty Marcin spoczywał na legowisku więziennym.

I dozorca drapnął przestraszony, nie zdążywszy nawet za sobą drzwi zamknąć.

Niedźwiedź wstał tymczasem i poszedł za nim powoli, a mając wszędzie poroztwierane, wylazł na ulicę i zdążał spokojnie ku targowicy jarzyn i zwierzyny. Łatwo sobie wystawić popłoch przekupek i gości na zjawienie się między niemi tego nowego konsumenta. W oka mgnieniu plac się opróżnił, jak gdyby go kto wymiótł, i przybysz mógł sobie natychmiast wybierać jarzyny, owoce i zwierzynę, jaka mu przypadła do smaku.

To téż nasz miś niczego sobie nie skąpił, a nikt nie śmiał go płoszyć przez obawę, aby sam nie stał się zwierzyną.

Padł wreszcie ofiarą własnéj żarłoczności i łatwego zarobku, zamiast uciekać do lasu.

Dwaj kowale, mający kuźnię na tym samym placu, widząc zwierza chciwie zajętego pożeraniem jabłek i gruszek, które tak zwykle lubi, zbliżyli się cichaczem z rozpalonemi kleszczami z obu stron do niego i chwycili zbiega za uszy. Poznał on od razu, iż na nowo popadł do niewoli. Dla tego nie bronił się i z pokorą dał się odprowadzić do fosy, protestując tylko od chwili do chwili żałosnym rykiem przeciw barbarzyńskiemu sposobowi aresztowania.

Wszelakoż rada mieszczan berneńskich zważywszy, że wypadek podobny mógłby się powtórzyć, i nawet za drugim razem nie skończyć tak spokojnie, postanowiła utrzymywać niedźwiedzie na przedmieściu, z rozkazem zbudowania dla nich dwóch fos u wałów miasta.

Wykonanie dekretu rady zmniejszyło kapitał zwierząt o połowę, gdyż koszta budowy oszacowano na 30,000 fr.

Zwiedzając Bern, udałem się do tego nowego, kamiennemi taflami wyłożonego mieszkania, aby złożyć wizytę podupadłéj na majątku czworonożnéj rodzinie, która tam się przesiedliła była.

ZIMOWYM WIECZOREM.

W téj kasztanowéj alei
Gdzieśmy chodzili we dwoje,
Ja dzisiaj sam jeden stoję
W śniegu zimowéj zawiei;

I nie wiem na co i po co?
Stojąc wśród wichru i chłodu,
Sam już zimniejszy od lodu
Z zimową kłócę się nocą.

Niby to patrzę się chciwie
Na drzewa ubrane w szrony,
Na chmurne niebo — i wrony
Kraczące przez sen leniwie. —

Śniegu tumany się sypią,
Umarłym ścielą posłanie —
Do koła słychać krakanie —
A drzewa gałęźmi skrzypią.

Ja stoję długo i długo,
Nie wiedząc dobrze co robię…
I niby rozmyślam sobie
Nad tą zimową szarugą;

I myślę, że choć czas brzydki,
To zima piękną jest porą —
Że będzie uciechy sporo
Dla tych, co mają na zbytki.

Że biedak co marznie głodny
Nie może zepsuć zabawy —
Nie dojdzie nędzy głos łzawy
Tam, gdzie się bawi świat modny;

Że będą znów reuniony,
Bale, kuligi i sanny.
O trzykroć szczęśliwe panny!
O trzykroć szczęśliwe wrony!

Bo wrony — to mądre ptaki,
Nie lubią letniego słońca,
Lecz za to w zimie bez końca
Na śniegu łowią robaki.

Dla panien także nad lato
Milsze zimowe zamiecie —
Mogą pokazać się w świecie
I wydać za mąż bogato.

Tylko sierotom się dłużą
Ponure ciemne wieczory...
Dla tych, są przecież klasztory...
W szpitalach miejsca jest dużo...

Byłbym tak daléj rozumnie
Spostrzeżeń rozwijał żagle,
Gdyby nie przyszła myśl nagle
Że się zmieniło coś u mnie...

Że u mnie i w świecie całym
Coś się doprawdy zmieniło...
I że nie zawsze tak było
Pokryte całunem białym.

Wspomniało serce zbudzone,
To serce wciąż niepoprawne,
Czasy tak jeszcze niedawne
I te kasztany zielone!

Wspomniało, że w oczy twoje
Patrzałem pełen nadziei...
W téj kasztanowéj alei
Gdzieśmy chodzili we dwoje!

El...y.

Historya o dwóch parach zakochanych i o połowie trzeciéj

podsłuchana i spisana przez

Józefa Narzymskiego i Władysława Sabowskiego.

(Ciąg dalszy.)

Po godzinnéj może rozmowie, któréj stér trzymała pani domu, a do któréj panienki mięszały się od czasu do czasu; po wybornéj kawie ze śmietanką i z sucharkami, pan Aureli zebrawszy się na determinacyę, (bo wiedział, że dostanie burę od żony za tak wczesne zabranie gościa) ulegając niezwyciężonéj namiętności, odezwał się:

„A możebyśmy preferansika parę pulek zrobili?... Winienem rewanż panu Dobrodziejowi... co? hę?..."

„Z największą przyjemnością służyć będę", odrzekł Kliński, ale mówiłem już panu Dobrodziejowi, że pewien interes nastręcza mi miłą sposobność korzystania z łaskawéj gościnności..."

„Mężu", przerwała pani Sydońska, „pan Kliński pragnąłby obejrzeć wykopaliska... które", dodała zwracając się do młodego człowieka, „tém większéj nabrały dla nas wartości, że nam tak miłego sprowadziły gościa..."

Wiemy, jak dziwaczny archeolog znudzony był łatwością panien na wydaniu i nadskakiwaniem matek. Słysząc więc ten komplement zużyty, ale zanadto trochę przesolony i widząc aż dwie panny, przeraził się od razu i z szyderczym trochę uśmiechem wyrzekł, kłaniając się:

„Oh! zbytek łaski, szanowna pani!"

Ale pani Sydońska szyderstwa nie dostrzegła, tylko uśmiech, i była sobie bardzo wdzięczna za okrągły i mile brzmiący frazes.

„A no, toby może pan Dobrodziéj życzył sobie mój zbiorek zobaczyć", odezwał się pan Aureli nie bez stłumionego westchnienia nad straconym czasem.

„Z największą chęcią", odrzekł Kliński i wstał a za nim poruszyło się całe towarzystwo.

„My sobie na fajeczkę z proboszczem wyjdziemy tymczasem" szepnął major do ucha gospodarzowi, „jak będzie czas, to nas sąsiad zawołaj."

I obaj wynieśli się z saloniku na drugą stronę, a przechodząc przez sień mojor rzekł do proboszcza.

„Taki byłem ciekawy zobaczyć archeologa, a to ot sobie, jak każdy inny... ani się domyślać można, że on skorupy zbiera..."

„Hm... hm..." mruknął proboszcz, „jednak ma w sobie coś... coś..."

VIII.

Tymczasem w salonie pani Sydońska wskazując drzwi na prawo mówiła.

„To tu proszę Pana... w naszym skromnym domku, przeznaczyliśmy dla tak drogich pamiątek miejsce honorowe... buduarek naszych córek..."

Była to nieprawda, bo wykopaliska leżały zwykle w dwóch starych szafach w sieni, i zostały dopiero do buduarku przeniesione po wizycie pośrednika, — Klińskiemu jednak błysnęła myśl, że umieszczać starożytności w pokoju panien na wydaniu może być nie szczególnym prognostykiem... Że jednak miał sprytu i otarcia dużo, odrzekł więc grzecznie:

„Prześliczny i oryginalny pomysł... Młodość i przyszłość wśród szczątków zamierzchłéj przeszłości... Kwiaty na starych mogiłach..."

Czy pani Sydońska zrozumiała poetyczność tego porównania? nie ręczymy, to pewna, że przeczuła pochlebstwo, i zachęcona dodała:

„Oh! masz pan racyę! jak to znać uczonego człowieka... i tém chętniéj to zrobiłam, iż moje córki bardzo się tém interesują... Halinka szczególniéj namiętnie rozkochała się

w archeologii... Nawet dam ją panu na przewodnika... Halinko! objaśnij pana gdzie co znaleziono..."

I mówiąc to gospodyni wraz z córkami wprowadziła gościa do dość eleganckiego buduarku, gdzie jednak, zamiast cacek kobiecych na stolikach i w szyfonierze, porozkładane były urny, skorupy, noże i siekiery kamienne i żelazne, łzawnice, kółka bronzowe, wszystko to czarne, zaśniedziałe, brudne... Kliński miał racyę, widok był oryginalny.

„No, Halinko, zacznijże twój obowiązek wypełniać", zawołała matka, a gdy Halinka nieśmiała i zarumieniona wzięła w rękę roztłuczoną urnę i pokazując ją mówiła:

„Tę znaleziono najprzód, a koło niéj te oto monety" pani Sydońska wysunęła się napowrót i spotkawszy męża, który się namyślał gdzie mu iść wypada, wzięła go pod rękę i wyprowadziwszy do drugiego pokoju, rzekła:

„Wiesz Relciu, to bardzo przyjemny człowiek..."

„A! przyjemny..."

„Słuchaj... z tego może co być... ale jak się zapyta o cenę tych gratów, to mu je daj darmo..."

„A to dla czego?... szkoda..."

„Co za szkoda!... Lepsze szczęście dziecka jak kilkadziesiąt talarów... już tylko rób, jak ja ci mówię. a będzie dobrze..."

„Kiedy to widzisz, chciałem parnik kupić do gotowania kartofli... dla bydła..."

„Ah! kiedy nudny jesteś... mówię ci że trzeba mu z tego prezent zrobić... ktoby takiemi rzeczami handlował?... a na parnik to ja ci dam jak się indyki sprzedadzą..."

„No, kiedy każesz duszko" zwyciężony tym argumentem bąknął pan Aureli, „to mu dam..." a w duchu pomyślał: żeby choć Pan Bóg pozwolił w preferansa go ograć... zaproponuję po trzy fenygi...

„Ale tego nie dosyć" dodała żona...

„A co jeszcze?" prawie w strachu zapytał mąż.

„Trzeba go tu koniecznie dłużéj zatrzymać... daleko mieszka... jak raz odjedzie... niewybierze się znów tak łatwo... to już poważny człowiek..."

„Ale jakim sposobem moja duszko?..."

„Ah! ty nigdy niewiesz jakim sposobem" oburknęła niecierpliwie żona, „na starość coraz tępszy jesteś..."

„Eee!" zaprotestował prawie obrażony mąż, „a ona może myśli że przyjemniejszą z latami" dodał, ale już tylko w głębi ducha...

„Otóż widzisz" zawołała po namyśle pani Sydońska, „ja już mam sposób..."

„No, ciekawym?..."

„Powiemy mu, żeśmy umyślnie rozkopywanie kopców wstrzymali, dowiedziawszy się o jego przyjeździe, ale że teraz, pod jego kierunkiem i okiem daléj je prowadzić będziemy..."

„Ależ duszko, to znowu koszt będzie... ludzi opłacać... jego i konie żywić..."

„No, to odegrasz w preferansie" odparła żona, ze zwykłą kobietom zręcznością wyzyskując słabość męża...

„Tak, masz racyę... nawet gdyby mi szczęście służyło..."

„Naturalnie... zresztą szczęście dziecka przedewszystkiem... a więc...."

„Ale" przerwał pan Aureli, „powiedz mi duszko, co to ma wspólnego, ze szczęściem naszego dziecka..."

„A! mój kochany... jakiś ty nieznośny, to pojęcie przechodzi!... Źle bardzo że nie rozumiesz... ale kiedy tak jest to mnie nie nudź przynajmniéj pytaniami takiemi... Staraj się więc zatrzymać Klińskiego koniecznie, a ja ci pomogę... A przyjdź tam za chwilę..."

I to mówiąc małżonka, która przysięgła posłuszeństwo i szacunek, zostawiła bardzo dokładnie objaśnionego męża i pana, i przez salon wróciła do buduarku.

I nie myślcie, żebyśmy potępiać chcieli despotyczną panią... Owszém, spółka nasza po głębokiem zastanowieniu przyszła do przekonania, że mąż niedołęga nic lepszego zrobić nie może jak cicho i zgrabnie wcisnąć się pod pantofel magnifiki... bo w brew wszelkim egoistycznym tradycyom pewnikiem się stało, że lepszy rozum niewieści jak męzka głupota... Niech więc siedzenie pod pantoflem żony, nie martwi odtąd i nie żenuje nikogo, jak nikogo nie martwi i nie żenuje jego własny idiotyzm. My proponujemy order narodowy dla tych wszystkich dzielnych i odważnych niewiast (a jest ich tyle) które podjęły się ciężkiéj pracy Syzyfa, i przez całe życie pchają na drogi rozsądku bałwanów, którzy się co chwila w rowy głupstwa chcą zwalić...

To też i nasz bałwan, chciałem powiedzieć pan Aureli, zostawszy sam na środku jadalnego pokoju, pokiwał głową, i mruknął pod nosem.

„Jaka mi mądra!..."

Ruszył potém ramionami, machnął ręką i na tém się jego protestacya skończyła...

Należał on do gatunku bałwanów poczciwych, a zwłaszcza perspektywa nieskończonéj liczby pul preferansowych błogością duszę jego napełniała. (C. d. n.)

NAPOLEON W WILHELMSHÖHE.

(Z ryciną.)

Oto zaledwie pół roku mija, kiedy Napoleon III zwany nowożytnym Cezarem, jaśniał w całym blasku, i z Tuilleryjskiego tronu, polityką świata rządził. Nie dawno jeszcze, w czasie wielkiéj międzynarodowéj uroczystości, Cesarze i Króle dwóch półkuli, spieszyli do nowego Babilonu z czcią i hołdami, spieszyli z zapewnieniami przyjaźni i z uznaniem praw do tronu Francyi parweniuszowskiéj rodziny Bonapartów. Jakżeż się wszystko od téj chwili

zmieniło! Ta Francya, zwycięzka nie dawno na polu nie krwawéj walki, dziś orężem z siekana leży bezsilna, a ten co jéj przewodniczył, otoczony przekleństwem własnego narodu i wzgardą nieprzyjaciół, pędzi dnie samotne na Wilhelmshöh'skiéj skale.

Tak dla Francyi jak i dla jéj przewódzcy Nemezis historyczna okrutną była. Tron zdobyty orężem, orężem obalony został. Ale są wielkości które i w upadku wielkiemi być nie przestają. Mówiąc o nich mimowoli staje w myśli marmurowa postać stryja, bohatera z pod Piramid i jego upadek pod Waterloo. W chwilach zwycięstw pod Austerlitz, Wagram i Jena, nie większą go chwałą świat cały otaczał jak w czasie dni pustelniczych na św. Helenie. Pozbawionego korony synowca nie już hałaśliwa wzgarda, ale boleśniejsze nad nią, milczenie prześladuje. W pierwszych chwilach niewoli, turyści przeważnie angielscy, otaczali pałac więźnia. Krótko to trwało i dopiero kapitulacya Metz'u nieco więcéj uwagę ku téj stronie zwróciła. Przybycie Eugenii dnia 30 Października i równocześnie kilku poufnych osób, kazało się domyślać tajemnych knowań detronizowanego Cesarza. Wizyty krótko trwały i gdy w ich miejsce zjawili się 1 Listopada generałowie Bazaine, Canrobert i Leboeuf, wszyscy więźniowie Metzu, znowu nastała głucha cisza. I odtąd dnie płyną cicho, nie przypominając wprawdzie dotkliwie niewoli, ale jakże różne od świetnych dni spędzonych w zrujnowanym dziś pałacu w St. Cloud.

5. Września, po kapitulacyi Sedańskiéj przybył Cesarz do Cassel, ciągnąc za sobą liczny zastęp służby i powozów. Wkrótce jednak służba do ojczyzny wróciła, a powozy sprzedane zostały. Dziś otoczenie Cesarza jest skromne. Z 18 adjutantów z któremi przybył do Cassel, pozostali tylko generał Castelneau, generał Pajol, Edgar Ney, książę Moskwy i generał Bauber de Genlis. Rycina nasza przedstawia Cesarza przechadzającego się po parku Bowling-green. Wspiera się on na ramieniu generała Castelneau, za nim idzie główny lekarz Conneau, książę Murat i masztalerz dworski. Pomimo szczupłego otoczenia etykieta dworska jest zachowaną. Adjutanci z kolei pełnią służbę na pokojach, oczekując rozkazów bądź do przechadzki po parku, bądź przejażdżki w okolicy.

Do świty zaliczyć trzeba jeszcze Franciszka Pietri, byłego prefekta policyi w Paryżu, a dziś pełniącego obowiązki tajnego sekretarza.

Cesarz ma lat 63. Zdrowie napozór silne, w rzeczywistości jednak jest osłabione bardzo. Wiele nie politycznych kroków Cesarza, przypisują cierpieniom fizycznym, które mianowicie w ostatnich latach bardzo były dotkliwe.

Z upadkiem Napoleona rozpoczęła się nowa epoka w historyi Francyi. Mitrę cesarską zastąpiło drzewo wolności i pod jego godłem, wspominając magiczne słowa wielkiéj rewolucyi „patrie en danger" chciał naród francuzki powetować błędy Cesarstwa. Losy inaczéj chciały — upadło Cesarstwo, mdleją konwulsyjne wysiłki Rrzeczypospolitéj, a cichość grobową pałacu Casselskiego przerywają tylko jęki i płacz nieszczęśliwéj lecz bohaterskiéj i pięknéj ojczyzny Franków.

X. X.

Szarada.

Pierwsze, drugie, trzecie, piąte wśród liter znajdziecie bez zmudy,
Drugie z czwartem i piątem dwa wielkie połączyło ludy,
Wszystko, imię, co blaskiem niedawno jaśniało,
Dziś z tych fałszywych blasków nie wiele zostało.

(Rozwiązanie szarady w Nr. 5: ***Nekar.***)

Korespondencye Redakcyi.

Panu Fr. Gwiazdowskiemu, Kassowo pod Gostyniem. Zastosujemy się do życzenia w liście drugim wyrażonego. — Panu A. Sz. p. Błąd drukarski co do dnia śmierci Dumasa, tak był widoczny, że trud pański wydaje się nam zbytecznym. Żeby jednak dać panu satysfakcyę chętnie prostujemy: Na stronnicy 38 w wierszu ostatnim w miejsce „dnia 11 Grudnia, czytaj 8 Grudnia, i na str. 30 w wierszu trzecim, w miejscu 8 Grudnia czytaj 11 Grudnia. — Pani lub Panu M. K. Dla ogółu zagadka zatrudna. Z téj przyczyny chociaż starannie ułożona, zamieścić jéj nie możemy. — Panu Sfinks z Częstochowy. Na nic się nam nie zda.

Od Redakcyi.

W numerze bieżącym przypada kolei na „List z Ustronia, Bolesławity." Z przyczyny opóźnienia pociągu kolei żelaznéj, przyszedł on w chwili, kiedy druk Sobótki już był ukończony. Odkładamy go więc do numeru przyszłego.

*W skutek naszego ogłoszenia w Nr. 51 r. z. o Premii dla Abonentów **Sobótki,** tak wielu zgłosiło się o Dzieła Wojnarowskiéj 6 t. po zniżonéj cenie 1 tal. nieopr. 2 tal. oprawne, iż przeznaczonych na premią 100 egzempl. oprawnych nie starczyło — dopiero teraz otrzymaliśmy od introligatora nowe egzemplarze i wszystkie zamówienia zostały wykonane. — Mimo minionéj „gwiazdki" dopókąd nam starczy zapas dzieł Wojnarowskiéj 6 tomów, to Abonentom **Sobótki** odstępować takowe będziemy za gotówkę za 1 tal. nieopr., a 2 tal. oprawne.*

*Przy nadsełaniu pieniędzy upraszamy zarazem dołączyć kwit abonamentu **Sobótki** — ta bajecznie nizka cena 1 tal. za 6 tomów (100 arkuszy druku) znamienitego dzieła — tylko dla prenumeratorów **Sobótki** istnieje.*

Mieczysław Leitgeber i Spółka,
Wydawcy „Sobótki."

Nakład i Redakcya księgarni M. Leitgebra i Spółki. — (M. Leitgeber i St. Tułodziecki w Poznaniu.) — Czcionkami W. Deckera i Sp. (E. Röstel.)